

Zbrodnia lubińska



Demonstranci niosą rannego Michała Adamowicza.

Fot. Krzysztof Raczkowiak

31 VIII 1982

Od paru dni we wszystkich gazetach histeria grózb wobec wszelakich demonstracji osiągnęła szczyt. Odbywa się mobilizacja ZOMO, MO i wojska. Społeczeństwo przyjmuje to z mieszanymi uczuciami. W tej medialnej histerii komuniści robią wszystko, aby to spokojne i zmęczone społeczeństwo sprowokować do rozruchów. No bo wtedy aparat represji będzie mógł się wykazać działaniem. W Legnicy na ulicach liczne patrole wzbudzają wśród mieszkańców tego miasta atmosferę powagi i skupienia, ale chyba też i drwiny, że władza ludowa głupieje. Stan wojenny wciąż trwa, narasta chaos gospodarczy, żyjemy coraz biedniej i coraz trudniej jest zdobyć podstawowe produkty żywnościowe.

Jako wiceprzewodniczący „Solidarności” w moim biurze projektowym w Legnicy, wybieram się do mojego miejsca zamieszkania w Lubinie, aby wziąć udział w pokojowej manifestacji. Zamierzamy zaprotestować przeciwko utrzymywaniu stanu wojennego i żądać wypuszczenia internowanych kolegów z delegalizowanego związku „Solidarność”. Protest ma się odbyć po południu, gdy górnicy z pierwszej zmiany dotrą do miasta.

Wyjeżdżam z pracy wcześniej, po drodze zatrzymuję się u rolnika, od którego kupuję zwykle ropę, dostarczaną mu przez towarzyszy radzieckich, stacjonujących w Legnicy jednostek wojskowych. Tankuję do pełna zbiornik mojego starego, wysłużonego Peugeota, kupionego za grosze na saksach w Szwecji. Jestem z niewielu osób posiadających samochód na ropę, stąd często zabieram kolegów do pracy w Legnicy. No i co najważniejsze – kartki na paliwo i ograniczenia w tankowaniu benzyny nie są dla mnie aż tak upiorne, jak w przypadku kolegów.

Dojeżdżam do obrzeży Lubina i widzę stojące tam samochody milicyjne. Zatrzymują mnie i pytają, dokąd jadę. Odpowiadam, że wracam do domu w Lubinie. Legitymują mnie. Dowód osobisty im nie wystarcza, żądają prawa jazdy, a następnie głosem rozkazującym jeden z nich mówi:

-Prosto do domu!

Do cholery jasnej co się dzieje? Zanim wsiadłem do samochodu, zauważyłem nadjeżdżające od strony Legnicy nyski milicyjne. Parę osobowych samochodów zostało zawróconych w kierunku Legnicy. Jadę do domu, odbieram żonę i ruszamy do centrum miasta odebrać ze żłobka naszego kilkunastomiesięcznego synka. Po drodze mijamy uciekających w pośpiechu ludzi, a także wiele wozów milicyjnych. Już wiemy, że coś niedobrego

się dzieje, ale jeszcze nie wiemy co? Podjeżdżamy pod żłobek. Żona wyskakuje z samochodu i pędzi do budynku. A ja pytam biegnącego mężczyznę:

-Panie, co się dzieje?

A on na to:

- Bierz Pan dziecko ze żłobka i uciekaj! Zomowcy strzelają do ludzi, jak do kaczek! Krew się leje strumieniami Panie!

I pobiegł! A ja pomyślałem, jak w takim malutkim miasteczku nagle pojawili się ZOMO- wcy, którym zachciało się strzelać do ludzi? To brzmi jak niezły, ale i czarny dowcip. A może ten biegnący mężczyzna ma jakieś problemy ze zdrowiem psychicznym? Wraca żona z naszym synkiem i mówi, że są informacje o tym, że ZOMO i służby milicyjne użyły broni palnej wobec spokojnie demonstrujących mieszkańców miasta. Płacze. Nasz synek, którego trzyma w ramionach szepce:

- Mama nie płac. Dlaczego płaczes?

A ona na to:

- Ja nie płaczę synku, to moje serce płacze.

Ruszamy spod budynku przedszkola, kierując się w stronę osiedla, w którym mieszkamy, ale w pewnym momencie widzimy zbliżające się w naszym kierunku wozy milicyjne. Cofamy samochód i zmieniamy trasę. Może lepiej przejechać przez miasto i okrążyć zablokowany w tym czasie wiadukt, dzielący miasto na dwie strefy? Udajemy się w stronę ulicy Odrodzenia.

Nasz samochód jest jedynym, zmierzającym w tym kierunku. Przed nami zadymione niebo, uciekający ludzie, niektórzy leżą na trawnikach otaczających kościół i nyski milicyjne, krążące dookoła, jak na rodeo. Z samochodów widać wściekłe twarze oprawców i broń gotową do puszczenia serii w bezbronny tłum. Zbliżamy się do ulicy Odrodzenia.

Widzimy ludzi zgromadzonych przy mostku, płaczących, składających kwiaty w miejscu, gdzie potem okazało się oprawcy komunistyczni zastrzelili Michała Adamowicza. I nagle przed nami pojawia się barykada, zbudowana przez demonstrantów, a za nami widzę w lusterku nyskę milicyjną, kryjącą się za moim samochodem. Otwieram okno od strony kierowcy i pokazuję palcami znak „V”. Może dwie minuty później demonstranci umożliwiają mi przejazd w stronę miasta odblokowując barykadę i szybciotko blokują przejazd suki milicyjnej, która próbowała przejechać tuż za mną.

W tym samym czasie mój synek zaczyna się dusić! Wypuszczone przez oprawców gazy łzawiące i środki chemiczne użyte do pacyfikacji miasta zaczynają odnosić ich zamierzone skutki. Żona przytuła go, chowa jego malutką główkę pod bluzkę. Pociesza! Nie płacze, bo wie, że płacz wzmoże jego frustrację tym, co dzieje się dookoła. Przejeżdżamy przez Rynek.

Dookoła mnóstwo milicji. Dokonują łapanek, tych ostatnich demonstrantów, którzy nie zdołali jeszcze zbiec. Okrążam Rynek i próbuję przedostać się w stronę osiedla „Przylesie”, gdzie mieszkam. Po drodze mijam kościół, wokół którego, jak się potem okazało, strzelano do osób, próbujących schronienia w murach kościoła. Na olbrzymiej połaci zieleni, otaczającej kościół ciągle poruszają się nyski milicyjne i widać ludzi leżących wśród trawy, ludzi, którzy zamarli w bezruchu wskutek niespodziewanej akcji służb milicyjnych. Synek ciągle płacze, w samochodzie pełno gazu, jednakże dojeżdżamy w jakiś sposób do domu. Przytulamy się do siebie, całujemy, bierzemy naszego synka na ręce i mówimy:

-Synku! Kiedyś doczekamy czasów, gdy nie będziesz musiał się bać milicji, która zamiast nas chronić, strzela do nas jak do dzikich ptaków.

I postanawiamy „iść w miasto”. O pomoc w opiece nad zmęczonym synkiem prosimy znajomych, mieszkających w tym samym bloku, nie angażujących się w sprawy polityczne kraju. Jest ciepło. Zakładamy więc letnie rzeczy,

tenisówki i ruszamy na piechotę w kierunku Rynku. Ku naszemu zdziwieniu, widzimy tłumy osób zmierzających w tym samym kierunku, osób, na których twarzach widać rozpacz, desperację, smutek, łzy...

Moja żona trzyma w rękach czerwone róże. Mówi, że złoży je tam, gdzie zginęli ludzie. Nie protestuję. I nie mówię, że w to miejsce zapewne nie dotrze! Zbliżamy się do mostu, zwanego „kładką lubińską”, rozdzielającą miasto na dwie części: osiedle „Przylesie” i osiedle Świerczewskiego. Na nowym osiedlu „Przylesie” mieszka sporo młodych osób takich jak ja, a więc pochodzących głównie z miasta Wrocławia, którzy przyjechali do Lubina, gdyż zaoferowano im tutaj pracę i nowe mieszkania. W bloku, w którym mieszkamy, są trzy osoby pochodzące z Wrocławia, a pracujące wraz ze mną w biurze projektów. Mieszkają tu również lekarze, farmaceuci czy pracownicy nadzoru miejscowych kopalń czy huty Legnica. Dochodzimy do mostu. Wokół tysiące mieszkańców, wznoszących okrzyki:

- *Gestapo, gestapo, gestapo.....*

- *Mordercy, mordercy, mordercy....*

Pod mostem widać jadące opancerzone wozy, zaś z głośników rozlegają się rozkazy milicjantów:

- *Rozejść się, rozejść się!*

Nikt nie reaguje! Demonstranci już wiedzą, że milicja obywatelska użyła broni palnej wobec mieszkańców Lubina, w wyniku czego rannych zostało wiele osób. Ponoć są również ofiary śmiertelne. Widzę młodych chłopców biegnących wzdłuż trasy, gdzie poruszają się wozy milicyjne i ZOMO. W rękach mają butelki z benzyną oraz kamienie. Rzucają je w stronę samochodów milicyjnych. W odpowiedzi milicjanci rzucają w ich stronę petardy z gazem łzawiącym. Pojawiają się także wozy strażackie, z których płyną strumienie wody w kierunku demonstrantów.

Łzy płyną nam z oczu, wokół pełno dymu, tłum cofa się do tyłu, ale nie rozprasza. W tym samym czasie tworzy się następna demonstracja - mieszkańców z osiedla Ustronie. Część nysiek milicyjnych udaje się w stronę tego osiedla. To pozwala nam chwycić trochę oddechu. W tłumie dostrzegam dwóch kolegów z „Solidarności”, podchodzę do nich i pytam, czy byli świadkami tego co wydarzyło się w Rynku. Mówią, że kiedy uczestnicy pokojowego wiecu chcieli się rozejść, funkcjonariusze milicji zaczęli miotać w ich kierunku środki chemiczne i spychać ich w boczne uliczki, na co demonstranci odpowiedzieli kamieniami.

Wówczas ZOMO użyło ostrej amunicji. Strzelali do każdego, kto pojawił się w zasięgu ognia, nawet do osób obserwujących zdarzenie z okien domów. A potem rozpoczęła się łapanka. Złapanych demonstrantów pakowano w samochody i odwożono do Komendy Miejskiej MO. Ponoć otoczono również szpital, do którego zwozi się rannych.

Zbliża się wieczór, czas odebrać synka od sąsiadów i ułożyć go do snu. Przedzieramy się przez tłum i kierujemy w stronę naszej ulicy. Nagle dobiega do moich uszu warkot silnika samochodu, odruchowo odwracam głowę i widzę nadjeżdżającą w naszym kierunku nyskę milicyjną, a sekundę później lecącą w naszą stronę petardę. Bez chwili wahania mocnym ruchem dłoni popycham żonę w żywopłot i zwałam się na nią, przyciskając ją do ziemi. Słyszę świst przelatującej petardy i wokół pojawia się dym. Leżymy w tym żywopłocie przez kilka dobrych chwil. Czujemy własne oddechy, milczymy. Gdy słyszymy warkot odjeżdżającego samochodu, powoli wydostajemy się z żywopłotu. Mamy podrapane twarze, a z nogi żony płynie strużka krwi. To te czerwone róże, myślę, których

nie złożyła tam gdzie chciała. Trzymając się za ręce biegniemy do domu. Odbieramy synka, karmimy i układamy do snu. Zapada zmrok. Wychodzimy na balkon. W oknach otaczających nas budynków palą się światła, lecz po chwili gasną. Słychać warkot silników nadjeżdżających samochodów i okrzyki mieszkańców:

- Gaście światło! Zbliżają się gestapowcy!

Po chwili całe osiedle ogarnia ciemność, słychać tylko odgłos wystrzeliwanych przez milicjantów petard w stronę budynków i jeden wielki okrzyk mieszkańców:

- Gestapo, gestapo, gestapo!

- Mordercy, mordercy, mordercy!

Oni dobrze już wiedzą, że mieszkańcy tego miasta nigdy nie wybaczą im tej zbrodni. Ale dzisiaj są jeszcze butni, bo schowani w opancerzonych samochodach wiedzą, że nikt nie jest w stanie rozpoznać ich twarzy. A my już wiemy, że są garstką szaleńców pokazujących bezbronnym mieszkańcom miasta ich obsesję związaną z nienawiścią do przeklętej „Solidarności”.

Zbliża się północ. A my ciągle nie potrafimy ułożyć się do snu. Ktoś puka do naszych drzwi. Pytamy:

- Kto tam?

- To ja, „Janek Kos”.

Wiemy, że to nasz człowiek, działacz „Solidarności”, używający takiego pseudonimu. Otwieramy drzwi i zapraszamy do środka. „Kos” wyciąga z plecaka butelkę z wódką i prosi o kieliszki. Głos mu drży, gdy zaczyna przekazywać informacje o tym, co wydarzyło się tego dnia i o tych, którzy nie wrócili z demonstracji do domów, gdyż zostali wrzuceni do nysek i odwiezieni do Komendy Miejskiej. Ich los jest nieznan. Ma już pierwsze informacje ze szpitala. Jego kolega, chirurg, pracował dzisiaj na dwie zmiany, opatrując rannych, często osób, które przypadkowo znalazły się w zasięgu strzelaniny i doznały poważnych obrażeń.

Zastanawiamy się wspólnie, co będzie dalej? Czy ta wściekłość i bandycki napad na bezbronnych ludzi spowoduje zmianę w fałszywej grze generała Jaruzelskiego? Czy i jak długo władzy starczy siła wiary w ZOMO i siły tzw. bezpieczeństwa? „Kos” prosi o przekazanie informacji o zaplanowanym jutrzejszym proteście wśród członków mojej podziemnej organizacji „Solidarności”, który odbędzie się jutro w godzinach popołudniowych, jako odzew na bezprawne użycie broni palnej wobec mieszkańców naszego miasta. „Kos” opuszcza nasze mieszkanie około godziny 2-iej nad ranem, rezygnując z zaproponowanego noclegu. Chwilę później słyszymy na uśpionym osiedlu krzyk:

- Stój, bo strzelam!

- Stój bo strzelam!

Czy dotarł do domu, czy nie! Dotarł! Ale wtedy jeszcze tego nie byliśmy pewni.

Wiedzieliśmy skąd inąd, że kilkakrotnie uciekając z naszego mieszkania po godzinie milicyjnej, nie dał się złapać oprawcom komunistycznego systemu bezpieczeństwa. Był bardzo sprytny!

Budzę się z potwornym bólem głowy! Czuję się fatalnie. Żona, ma od dzisiaj zaplanowany wcześniej 3-dniowy urlop. Nie budzę jej. Śpi spokojnie z wtulonym w jej ramiona synkiem- dzieckiem „Solidarności”. Tak go oboje nazywamy, gdyż został poczęty i urodził się w 1980 roku, w czasach, gdy zakłamanie narodu, bluffu, obłudy i zbawiania na siłę osiągnęło swoje apogeum. Pamiętam, gdy żona była w zaawansowanej ciąży, stała w kolejkach, aby wyposażyć naszą rodzinę w podstawowe produkty żywnościowe. Pamiętam, jak będąc we Wrocławiu znalazła się w sklepie, gdzie dostarczono meble, o których zawsze marzyła, aby znalazły się w pokoju dzieci. Kupiła te meble i ledwie dychającym, wynajętym przypadkowo samochodem, po wertepach dowiozła je do Lubina.

Przed południem udaję się do przychodni lekarskiej i proszę o zwolnienie lekarskie ze względu na fatalny stan zdrowia psychicznego i o dziwo, takie zwolnienie otrzymuję. W międzyczasie dowiaduję się, że do miasta ściągnięto dodatkowe jednostki MO i wojsko, a także wprowadzono godzinę milicyjną trwającą w godzinach 20.00- 5.00. Mieszkańcom miasta zakazano również wyjazdów poza jego granice. Atmosfera w mieście gęstnieje. Do ludzi dociera fakt, że władza komunistyczna nie będzie pozwalać na pokojowe manifestacje. Udaję się do Urzędu Miejskiego w Lubinie o wydanie mi pozwolenia na odebranie 4-letniej córki z sanatorium w Sobótce w czwartek 2 września. Dostaję zgodę, pod warunkiem braku kontaktów z podziemiem solidarnościowym we Wrocławiu.

Zgodnie z ustaleniami naszej podziemnej organizacji „Solidarności” nawiązuję kontakty z kolegami. Ustalamy, że wszyscy, którym leży na sercu dobro kraju, muszą wyjść na ulicę. Dosyć przelewu krwi niewinnych ofiar! Dosyć prowokowania nas do rozruchów, w trakcie których giną ludzie. Terror, którym rządzą się komuniści, wzbudza tylko większą nienawiść wśród tych, którzy mają dosyć upodlenia, nienawiści i pogardy do swoich rodaków. My już wiemy, że zginęli Mieczysław Pożniak i Andrzej Trajkowski, zaś Michał Adamowicz walczy o życie.

Po południu jestem znowu wśród swoich! Rozpoczynamy manifestację. Koledzy informują, że poprzedniego dnia wielu zatrzymanych przez ZOMO kolegów przeszła przez tzw. „ścieżkę zdrowia” w Komendzie Miejskiej Milicji. Polegała ona na uderzaniu pałkami milicyjnymi biegnących pomiędzy dwoma szeregami bijących. Wśród pobitych są nawet przypadkowe osoby, które przybyły z pracy z Wrocławia do Lubina i zostali dopadnięci na przystankach autobusowych, czyli osoby nie mające nic wspólnego z protestem z poprzedniego dnia. To powoduje wzmogłą frustrację wśród zgromadzonych zdających sobie sprawę z faktu, że tu już nie chodzi o nic więcej, jak upodlenie całego społeczeństwa. I jest to już szaleństwo wynaturzonego socjalizmu, opartego na obłudzie, fałszu i fanatycznym wręcz dążeniu do utrzymania władzy.

Przybywa liczba osób biorących udział w proteście. Są już rzesze górników, którzy dołączają do nas, tych którzy zakończyli pierwszą zmianę w kopalniach, tych, na których rzecz, gdy strajkowali w przeszłości, organizowałem wspólnie z kolegami pomoc w postaci zbiórki pieniędzy na ich utrzymanie, gdy odmawiali wyjazdu z kopalni na powierzchnię ziemi.

I w tym momencie dociera do mnie, że my wszyscy stanowimy jedność i połączeni

jesteśmy wspólnie takimi wartościami jak godność, prawa człowieka czy szacunek dla prawdy.

Czuje służby bezpieczeństwa zdołały w ciągu tej jednej nocy zgromadzić wręcz niesamowite siły: jest wojsko, opancerzone samochody, ZOMO - i to wszystko przeciwko komu, ja się pytam? Przeciwko naszej beznadziei! Im więcej osób gromadzi się na naszym proteście, tym więcej środków przemocy gromadzi władza przeciwko nam – „warchołom”. Rozpoczyna się protest z żądaniem wyjaśnienia użycia broni palnej wobec bezbronnej

ludności miasta Lubina. Nie ma odpowiedzi, lecz rozpoczyna się próba rozbicia zgromadzenia. Są armatki wodne, jest gaz łzawiący. A my stoimy - my bezbronni mieszkańcy miasta Lubina - naprzeciw uzbrojonej po zęby milicji i ZOMO. I nie boimy się. Każdy z nas zdaje sobie sprawę, że tak jak wczoraj! Każdy z nas może zginąć!

I nagle ktoś zaczyna śpiewać:

- Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
- Nie damy pogrześć mowy! A reszta zgromadzonych dodaje:
- Polski my naród, polski lud, królewski szczerp piastowy!

I w tym momencie rozpoczyna się akcja SB i ZOMO! Powietrze zaczyna wypełniać się gazem łzawiącym, a my wciąż śpiewamy:

- Nie damy, by nas zniemczył wróg...
- Tak nam dopomóż Bóg!
- Tak nam dopomóż Bóg!

A ich ogarnia wściekłość! W ruch ruszają petardy, wokół pełno dymu, szczypiącego w oczy, ale tłum się nie cofa. Tłum dalej kontynuuje:

-Tak nam dopomóż Bóg, tak nam dopomóż Bóg!

Wokół dużo młodych, a właściwie dzieci, mających może 12-16 lat, gotowych do walki, prowokujących krążące wokół jednostki milicyjne i jednostki ZOMO. W rękach ich można zauważyć butelki z benzyną i kamienie. Ci młodzi ludzie zrozumieli, że ten antyludzki komunizm i te twarze za tarczami milicji czy w opancerzonych wozach milicyjnych sięją jedynie śmierć wśród bezbronnego społeczeństwa Lubina. I nie boją się utraty życia, gdy zbliżają się do opancerzonych wozów milicyjnych, rzucając w nich kamieniami czy butelkami z benzyną. I nagle pomyślałem o pokoleniu Kolumbów! O ich aktywnym udziale w ruchu oporu i o tym, że może kiedyś to przeżycie ukształtuje w przyszłości ich świadomość i tożsamość.

2 IX 1982

Wstajemy wczesnie rano. Przygotowujemy śniadanie, a potem ruszamy do Sobótki odebrać naszą córkę z sanatorium. Wiemy, że możemy to uczynić po 2-giej po południu. A więc mamy sporo czasu, aby dostarczyć listy do rodzin wrocławskich, przekazanych nam przez wspólnych przyjaciół z Lubina. Mamy również czas, aby zajechać do moich rodziców i przekazać im listy o wydarzeniach lubińskich, z prośbą o przekazanie przez znajomego księdzadalej...

Na drodze wyjazdowej z Lubina w stronę Wrocławia, zatrzymują nas polscy żołnierze, z kałasznikowami, gotowymi do strzału. Nakazują wyjście z samochodu, po czym rozpoczynają sprawdzanie wszystkiego, co

mieści się wewnątrz samochodu, szczególnie interesują ich listy, które są adresowane do wrocławskich rodzin, a związane są z wydarzeniami lubińskimi. Wiem, że za chwilę już będzie po nas. Ale oni nagle podejmują decyzję:

- Czysto! Jechać dalej.!

A potem pędzimy do naszego rodzinnego miasta. Docieramy do domu moich rodziców. Opowiadam o tym co wydarzyło się w Lubinie. Mój tato kwituje to jednym zdaniem:

- To straszne, że Polak Polakowi gotuje taki los. To straszne, że świat nie reaguje na to zwycięstwo zła!

A mama dodaje:

- Czy to, co przeżył wasz synek odbije się w przyszłości na jego psychice? Czy nie będzie miał koszmarów nocnych?

No cóż! Nie wiemy! Zauważyliśmy jedynie, że znowu potrzebuje pieluch i nocnego przytulania przez mamę. Często również budzi się w nocy z płaczem. Co będzie? Jedno jest pewne. Nastają dla nas i dla naszych dzieci ciężkie czasy. To co pokazano na ulicach miasta Lubina nie wróży nic dobrego. Jeżeli władza wysyła na ulice spokojnych osiedli milicję i wojsko i wydaje rozkazy, aby strzelać do własnych obywateli z broni palnej, niby w obronie ładu i porządku, to oznacza tylko jedno: z władzą nie ma żartów.

Zostawiamy listy znajomych do wrocławskich rodzin i wyruszamy do Sobótki, gdzie z sanatorium odbieramy naszą czteroletnią córeczkę, a potem zmierzamy w kierunku Lubina. Wszystkie drogi wjazdowe do miasta są zablokowane przez wojsko. Wjeżdżamy w drogę, prowadzącą w stronę osiedla Przylesie. Po przejechaniu kilkuset metrów już z dala widzimy żołnierzy z kałasznikowami na piersiach i ich ruchy oznaczające, iż mamy się zatrzymać. Na ich widok dzieci dostają histerii, krzyczą i rzucają się na podłogę samochodu. Zatrzymuję samochód! Podchodzi dwóch żołnierzy. Otwieram okno, a oni:

- A dokąd, to się jedzie?

- Do domu.

- A gdzie przepustka? – pyta drugi.

Wyciągam zezwolenie Urzędu Miasta Lubina na wyjazd i powrót do miejsca zamieszkania.

Czyta i śmieje się. Zjawia się trzeci z kałasznikowem i pyta:

- Ulotki są? Broń jest? Wysiadać i otwierać bagażnik, ale już!

I w tym momencie moja żona nie wytrzymuje i krzyczy:

- Tak panie władzo, w bagażniku mam parę granatów! Zaskoczony żołnierz wyciąga ją siłą z samochodu i nakazuje otwarcie bagażnika. Po otwarciu wskazuje torbę i miejsce ukrycia „granatów”.

A on prosi dwóch pozostałych żołnierzy o podejście bliżej, a potem spowolnionym ruchem otwiera torbę, w której mieszczą się tetrowe pieluchy wypełnione kupkami naszego synka. Rozjuszony, krzyczy:

-Wsiadaj k... do samochodu i won!

Jesteśmy w domu. Mojej żony emocje sięgają zenitu. Zamknęła się w pokoju dzieci i płacze. Nie potrafi opanować emocji i nie może zrozumieć takiej dzikiej nienawiści, jakiej dzisiaj doświadczyła z rąk synów tej samej matki- takich jak ona sama – matki Polki. Próbuję ją uspokoić, a ona wciąż powtarza:

- Jak oni mogli mnie tak potraktować, jak mogli! Przecież to moi bracia, to żołnierze, którzy powinni mnie i moje dzieci bronić! To jest jakieś szaleństwo!

W końcu wychodzi z pokoju oznajmiając, że musi coś kupić do jedzenia, bo lodówka pusta. Zabiera kartki żywnościowe i wychodzi. Wraca po 2 godzinach. Udało jej się kupić 2 kostki masła, śmietanę i kawałek mięsa wołowego na zupę dla dzieci. Cieszy się, że jeszcze nie wprowadzono kartek na warzywa i owoce, to i zupa będzie przednia. Wieczorem- kładziemy się wszyscy razem na kanapie „Teresa”, kupionej na raty z pożyczki, którą uzyskałem w moim biurze i milczymy i marzymy.....

W poniedziałek, gdy byłem w pracy, moja żona miała odwiedzin dwóch bardzo grzecznych panów.

Pokazali jej zdjęcia mojego samochodu, przejeżdżającego przez barykadę, moje palce złożone w znak „V”, jej i moje zdjęcia z manifestacji po śmierci niewinnych mieszkańców miasta, po czym oświadczyli:

- Proszę pakować mężowi szczoteczkę i pastę do zębów! Dzisiaj go nie ma, to nie oznacza, że po niego nie wrócimy!

I nigdy nie wrócili!

Tak, jak nie wrócili po „Janka Kosa”, „sprinter” z osiedla Przylesie w Lubinie. Nie wrócili również po jego żonę, wspaniałą działaczkę „Solidarności”, działającą w podziemiu lubińskim przez lata, której nikt nigdy nie zidentyfikował, a która nawet po 1989 roku nie starała się ujawnić, jako jedna z najważniejszych osób w podziemiu solidarnościowym w Lubinie. Nie próbowała ugrać na swojej działalności, albowiem wiedziała, tak jak ja, że my, mimo naszego zaangażowania w walce o lepsze i sprawiedliwe jutro, jesteśmy tylko małymi pionkami w tej grze.

Dystans, który oddzielał nas zwykłych działaczy „Solidarności” od „wierchuszki wałęsowskiej”, to temat rzeka. To były dwa światy. Świat, w którym lawirował Lech Wałęsa ze swoimi „poplecznikami”, który przystał na propozycję komunistów, aby podzielić się władzą (dogaduchy w Magdalence, „Okrągły stół”) i w konsekwencji doprowadził do czerwcowych wyborów do Sejmu, po których premierem został Tadeusz Mazowiecki, zaś Sejm kontraktowy zdołał zmienić konstytucję, powołując Senat i zgodnie z magdalenkowymi ustaleniami wybierając generała Jaruzelskiego na prezydenta bis PRL. Ta okoliczność tak jakoś kojarzy się ze śmiercią w Londynie Kazimierza Sabbata - prezydenta Rzeczypospolitej na Uchodźstwie.

A z drugiej strony czyhał na takich, jak my, zwykłych członków „Solidarności”, „towarzysz” profesor Leszek Balcerowicz, który w ukryciu przygotował już taki plan zmian gospodarczych w kraju, że cudownie zaczęły znikać z horyzontu najbardziej znane na świecie zakłady produkcyjne, tysiące hektarów ziemi, browarów czy PGR-ów. Sprzedawano, co się da, gdzie się da, komu się da. Często za przysłowiową złotówkę. A nabywcami byli oczywiście „sami swoi”, czyli ci, którzy służyli staremu systemowi i płynnie (bez weryfikacji) przeszli służyć „nowemu”, a naprawdę staremu porządkowi z czasów PRL. No oczywiście po drodze musieli pokonać parę

przeszkód, jak na przykład spacyfikować protesty „Solidarności Walczącej” czy też pozbyć się paru niewygodnych księży w osobach Niedzielaka czy Suchowolca, a to wszystko w imię zachowania imaginacji przemian społecznościowych.

Natomiast- uczciwi, kulturalni, solidni Polacy czy to przynależący do „Solidarności” czy też nie- okazali się największymi ofiarami zmian solidarnościowych w Polsce.

I ja jestem jedną z tych ofiar. Gdyby w odnowie politycznej kraju, nie wypomniano mi przynależności do „Solidarności” i brania udziału w zamieszkach w 1982 roku, a zarazem braku przynależności do PZPR, jako przyczynę odmowy pracy na kontrakt poza krajami RWPG (Libia), a przy tym nie zaproponowano mi zwyczajnej „łapówki” w zamian za zgodę na wyjazd, to zapewne moje losy potoczyłyby się trochę inaczej.

A tak:

23-go stycznia 1991 roku rozpoczął się nasz kolejny rodzinny etap, czyli życie na emigracji w Australii.



Autor: Bogusław Piotrowski